

Przeszłość - lekcja życia

Bogdan Sobieszek: Czym dla pani jest archiwum? Po co jest?

Marta Madejska: To pytanie, nad którym zastanawiam się nieustannie. Szczególnie od momentu, kiedy zaczęliśmy tworzyć Miastograf.pl. W ramach mojej pracy zawodowej robię też kwerendy, przeszukuję archiwa państwowe, muzealne.

Jaki to zawód?

Jestem pisarką, ale również kwerendzistką na zlecenie. Jedną część mojej aktywności to tworzenie archiwum społecznego, a jednocześnie przywracanie więzi społecznych. Natomiast ta druga noga to działania pisarskie, reporterskie oraz standardowe kwerendy: ktoś robi film i potrzebuje zdjęć konkretnej fabryki z XIX wieku, a ja je wyszukuję. W mojej drugiej książce, którą teraz piszę, będzie rozdział poświęcony archiwom i temu, co działo się z nimi w latach 90. Wziął się z zakończenia poprzedniej książki - „Alej Włókniarek”. Doszłam tam do wniosku, że tak trudno jest odtworzyć to, co wydarzyło się wtedy z łódzkim przemysłem włókienniczym, bo nie wiadomo, co się stało z niektórymi archiwami, a na bazie archiwów, które przetrwały, nie można ustalić losów niektórych fabryk i osób tam pracujących. Szczególnie ucierpiały archiwalia o wartości społecznej, ale nieobjęte ustawowym obowiązkiem przechowywania - materiały z izb pamięci, biuletyny fabryczne, zdjęcia załóg. To był czas chaosu, zaniechania, a legendy o paleniu teczek nie zawsze są tylko legendami. Charakterystyczny dla tamtego okresu był pęd ku przyszłości.

Wszystko, co za nami, przestaje być istotne.

Wielkie zbiory archiwalne rozmaitych towarzystw działających w PRL łądowały gdzieś w zawilgoconych szopach. Prywatyzowane fabryki przekazały swoje zasoby firmom zajmującym się archiwizacją, które powstawały jak grzyby po deszczu, a nie wszystkie miały kompetencje, żeby się tym zajmować. Przy okazji pracy nad tym rozdziałem mam wiele przemyśleń na temat samej idei archiwum.

I co to takiego?

Myślę o tym dualistycznie. Mamy archiwa instytucjonalne, których zadaniem jest przechowywanie danych. To ocalanie ma wartość pragmatyczną - na przykład dla ludzi, którzy szukają dokumentów, aby ustalić wysokość swojej emerytury, ale także wartość symboliczną - mogę znaleźć zdjęcie XIX-wiecznej fabryki, która już nie istnieje, dowiedzieć się, co się z nią stało, jak żyli ludzie w tamtym czasie, kim była moja rodzina. Bardzo mnie poruszyła informacja o tym, że w Krakowie spłonęła część archiwum państwowego - około 20 kilometrów akt. Zastanawiałam się, co czują ci archiwiści, bo przecież ich życiową misją jest ochrona dokumentów. Myślałam też, co by było, gdyby nasze archiwum cyfrowe nagle zniknęło, na przykład z powodu awarii serwerów. Byłaby to niepowetowana strata, ale ponieważ wciąż pracujemy w tkance społecznej, miałabym poczucie, że to, co już zrobiliśmy, nie zostanie stracone. Każdy projekt, który mamy za sobą, nawiązane kontakty, odtworzone relacje, rodziny, które się odnalazły dzięki naszemu archiwum - to wszystko zostanie.

Archiwum Miastografu ma wymiar niematerialny?

Przede wszystkim. Poza tym, że utrwalamy cyfrowo rozmaite materiały, realizujemy projekty kulturalne i edukacyjne. Czasem zostaje po nich coś materialnego, książka albo wystawa, a czasem

tylko ta nienamacalna wartość.

Archiwum - materialne czy cyfrowe - może zniknąć, a jednak coś po nim zostanie.

Ma wymiar więziotwórczy, a nawet terapeutyczny. Trochę się boję tego słowa, ale widzę, że z każdym naszym projektem dotyczącym transformacji ustrojowo-gospodarczej i upadku przemysłu w Łodzi, kiedy zachęcamy ludzi do opowiadania o tym doświadczeniu, robią to coraz chętniej i - na poziomie zbiorowości - coraz lepiej sobie z tym radzą.

Jeśli przyjmiemy, że archiwum to pamięć, co warto pamiętać?

Używając tej metafory, bierzemy cały jej bagaż. Pamięć jest bowiem problematyczną kwestią. Mam takie powiedzenie, że bardzo szanuję pamięć, ale jej nie ufam. Również własnej. Z tego samego wydarzenia każdy może zapamiętać coś innego i każdy będzie sobie inaczej radził z tym, co zapamiętał, inaczej pielęgnował wspomnienia. Dlatego tworząc Miastograf, nie chcemy wybierać, co należy pamiętać. To jest archiwum łódzkich obywateli i obywaterek. W części interaktywnej gromadzącej zdjęcia i wycinki prasowe jest wszystko, co ludzie postanowili tam umieścić, a co dotyczy Łodzi - to jedyny warunek. Druga część to są historie mówione, które zbieramy przy okazji różnych projektów. Ograniczają nas granty i ich priorytety, ale w ostatnich latach skupiamy się przede wszystkim na historii Łodzi przemysłowej. Te zbiory trochę kuratorujemy, głównie z powodów etycznych. Żeby być fair wobec osób, które opowiadają nam o swoim życiu, zamieszczamy tylko fragmenty wywiadów z nimi.

Z jakiej ludzkiej potrzeby wynika ta skłonność do zachowywania śladów przeszłości?

Z odwiecznej potrzeby porządkowania świata, wyłaniania z chaosu, wspomnienia i odtwarzania zniszczonej rzeczywistości. Myślę, że nasze działanie związane z Łodzią przemysłową jest formą inwentaryzacji spadku. Oczywiście to symboliczne działanie. Łódź przemysłowa już nigdy nie będzie funkcjonowała jak kiedyś, ale trzeba wiedzieć, że to miasto wyrosło dzięki przemysłowi, który wszystko tutaj uformował. Przemysł jest w biografii olbrzymiej części osób, które tu mieszkają, i nie można tego zignorować. Nigdy nie zrozumiemy Łodzi, jeśli nie przerobimy tej lekcji. W związku z przemysłem wokół zakładów pracy w PRL wytwarzało się najwięcej więzi. Do statutowych zadań zakładów pracy należało spełnianie określonych potrzeb społecznych, jak np. zapewnienie żłobka, przedszkola, domu kultury, orkiestry dętej, przychodni zdrowia czy dentysty. Tworzyły się uniwersa fabryczne. I jeśli w latach 90. udawało się sprywatyzować jakąś fabrykę, to wszystko, co od niej odkrawano jako obciążenie, reprezentowało właśnie więzi społeczne. Mam wrażenie, że wtedy w ogóle nie rozpoznano, że to ma jakąkolwiek wartość. A w życiu człowieka - obok najbardziej podstawowych potrzeb - to jest najważniejsze. Dzisiaj pandemia, wojna, inflacja potwierdzają, że to, co pozwala przetrwać w kryzysowych sytuacjach, to dobre więzi międzyludzkie. Gdy padały fabryki, dziwiono się: czemu ci ludzie tak marudzą, czemu się po prostu nie przekwalifikują? A przecież oni nie tylko stracili pracę, tracili część swojej tożsamości, zerwane zostały sieci połączeń między ludźmi. Do tego pojawiła się olbrzymia emigracja. Moje pokolenie musiało nauczyć się na nowo budować relacje na odległość, także dzięki nowym technologiom. Łódzka diaspora to też są odbiorcy naszego archiwum. Dzwonią lub piszą do nas ludzie z Trójmiasta, Manchesteru, zza oceanu, że właśnie spędzili noc, oglądając zdjęcia z Łodzi.

Dlaczego pani zajmuje się pamięcią?

Na studiach - kilkanaście lat temu - dołączyłam do Stowarzyszenia Topografie, grupy realizującej związane z historią Łodzi projekty kulturalne, edukacyjne. To była dynamiczna, ale i chaotyczna, typowo studencka organizacja. Denerwowało nas, że ludzie wyjeżdżają z Łodzi, że łodzianie nie

doceniają swojego miasta, jego wyjątkowości na tle Polski i Europy. Chcieliśmy temu przeciwdziałać. Po latach, całkiem niedawno odkryłam, że pod tymi różnymi warstwami zainteresowań jest też moja osobista, rodzinna historia, którą bardzo powoli odgrzebuje, i być może to głównie ona spowodowała, że zajęłam się tematem pamięci.

Pamiętniki pisano od zawsze. Dziś mamy archiwistykę społeczną. Czy to jest to samo, tylko ubrane w technologię?

Myślę, że te zbiory się zająbiają. Dzisiejsza archiwistyka społeczna jest związana z rozwojem internetu. Bez cyfryzacji, dostępności narzędzi, demokratyzacji odbioru byłaby niemożliwa. Do wzrostu popularności archiwistyki społecznej w Polsce przyczyniła się również konsekwentna działalność organizacji takich jak Ośrodek Karta, a potem Centrum Archiwistyki Społecznej. To one nas szkoliły z historii mówionych, z założeń etycznych. Dziś jest wiele lokalnych inicjatyw. Wspieramy się. Na ostatnim Kongresie Archiwów Społecznych pomyślałam, że chciałabym żyć w takim kraju, jaki tam wyłaniał się z przemówień. Mnóstwo życzliwych ludzi z pasją, o różnych poglądach, ale potrafiących się dogadać w demokratycznym duchu dialogu i odkrywania lokalnych historii, które często są nieoczywiste, trudne, obciążone emocjami. Zawierają wspomnienia o migracjach, zróżnicowaniu kulturowym, które zniknęło po II wojnie światowej, a także lokalne języki, gwary i slangi, uchwycone w ostatniej chwili, zanim znikną.

Zatem Miastograf powstał, bo...?

Chodziło o stworzenie strony internetowej, która będzie łączyć wspomnienia o Łodzi jej mieszkańców z topografią miasta. Tak nazwaliśmy nasze stowarzyszenie – Topografie (powstało w 2007 roku) i zawsze działaliśmy w kontekście terenu Łodzi, urbanistyki, architektury. W 2014 roku udało się wreszcie stworzyć Miastograf.

Dziś może go współtworzyć każdy...

Wystarczy się zalogować i wgrać zeskanowane zdjęcia lub wycinki prasowe dotyczące Łodzi. Można też do nas zadzwonić z informacją, że mama, babcia mają ciekawe historie do opowiedzenia. Brakuje nam osób do przeprowadzania wywiadów, więc przyjmujemy chętnych do współdziałania. Do tego trzeba cierpliwości, dobrego podejścia do ludzi. Nasz świetny zespół się nie wyrabia, bo to wciąż jest pasja, którą realizujemy jako wolontariat obok pracy zawodowej – w Topografiach jest kilkanaście osób, przy Miastografie pracuje ośmioosobowa grupa.

Na stronie piszecie, że interesuje was dokumentowanie życia codziennego i patrzenie na wydarzenia z perspektywy zwykłych ludzi. Dlaczego to jest takie ważne?

Każdy z naszego zespołu dałby inną odpowiedź. Pamiętam swoją szkolną edukację historyczną i to, że nie powiedziała mi nic o życiu, nie dała mi kompetencji, żeby nie powtarzać historycznych błędów zarówno na poziomie osobistym, jak i zbiorowości. Przełomem było spotkanie w moim liceum w Bytowie (imienia Bojowników o Wolność i Polskość Ziemi Bytowskiej) z jego emerytowanym dyrektorem. Opowiadał nam o swoich doświadczeniach podczas II wojny światowej na Kaszubach, regionie zróżnicowanym etnicznie, gdzie z własnego wyboru jeden brat szedł do AK, a drugi do SS. Ktoś inny był wcielany do Wehrmachtu i stamtąd uciekał, dołączał do Armii Czerwonej i dla niego to była wolność. Dyrektor opowiadał też, jak po wojnie brał udział w odbudowie Warszawy. Ta historia mówiona była dla mnie rewolucyjnym przeżyciem. Puste zestawienia dat i liczb z podręcznika nabrały treści. Bez takich historii, jakie zbieramy w archiwistyce społecznej, nigdy nie zrozumiałabym wojennej traumy mojej rodziny. Historie przekazywane przez bliskich, którzy ocaleli, zachowujące doświadczenie codzienne, mogą nam dać

lepsze kompetencje psychologiczne do radzenia sobie w świecie, a w połączeniu z historią w skali makro pozwalają nam ogólnie lepiej zrozumieć, co się wydarzyło.

Co pani dał Miastograf?

To, czego szukałam. Zrozumienie tego miasta i ludzi tu mieszkających. Dał mi nowe więzi, ale również zawód. Nie wystarczy szukać, żeby umieć znaleźć. Trzeba rozumieć to całe uniwersum archiwistyczne. Moje pisanie również z tego wyrasta. Z potrzeby opisanego wszystkiego, czego się dowiaduję.

Co poradziłyby pani osobom poznającym Miastograf? Jaką marszrutę wybrać?

Warto iść za tym, co nas interesuje. Radzę obczaić miejsce, w którym mieszkamy. Wklepać nazwę ulicy, zobaczyć, jak to kiedyś wyglądało. Można też wpisać swoją szkołę albo drogę do pracy, firmę. Radzę testować różne formy wyszukiwanych terminów. Albo nie wpisywać - tylko kliknąć w zdjęcia na stronie głównej i dać się prowadzić linkom. Ci, którzy korzystają z Wikipedii, wiedzą, jakie to są otchłanie klikania.

Wywiad ukazał się w numerze wrześniowym „Kalejdoskopu” 9/2022.